665

JAK BYĆ KOCHANĄ

„Macbett" Ionesco na scenie Teatru Współczesnego w Warszawie... Szekspir widziany przez Jarr'ego, „wielki mechanizm historii" ukazany w karykaturze jako zawrotna bieganina, chyże wspinanie się w górę i jeszcze szybsze spadanie. Kto następny? Kto prześcignie wszystkich w okrucieństwie i zbrodniczości? Historia bardzo ponura i ogromnie przez to wesoła — jakby można strawestować Wyspiańskiego. Na scenie (i na widowni) panuje atmosfera dobrej zabawy. Podchwytują ten ton wszyscy bez wyjątku wykonawcy, wśród których rozpoznajemy znakomitych aktorów: Borowskiego, Michnikowskiego, Wrzesińską, Czechowicza, Englerta. Prym wiodą Zapasiewicz (Macbett) i oczywiście Krafftówna. Z właściwą sobie łatwością przeobraża się ona ze skrzekliwej wiedźmy w kuszącą lady Duncan o płomiennych włosach, a później w zimną i bezwzględną lady Mackbett. Jest zabawna w każdym geście, słowie, spojrzeniu.

— Co jest Pani zdaniem istotą vis comica? — pytam, gdy spotykamy się nazajutrz. — Czy jest to umiejętność wrodzona, czy też można się jej nauczyć?

— Z całą pewnością trzeba to mieć w sobie. W życiu zdarzają się komicy niezamierzeni. To ludzie, którzy mając wrażliwość, wyobraźnię, wyzwalają komizm zawarty w codzienności. Wychwytują go literaci. Jest to rodzaj obróbki życia, bo jedyną inspiracją jest życie. Ale kopiowanie rzeczywistości byłoby tylko bełkotem. Dopiero przeprowadzenie selekcji, świadoma kompozycja tekstu i kontekstu, spointowanie, nadaje danej scence rangę sztuki.

Pracuję teraz dla radia nad tekstem Przybory. Dla mnie Przybora to mistrz humoru. W tym, co pisze, jest kawał naszego życia. Ot, chociażby taka próbka dialogu: — „Przeszedł wszystkie szczeble kariery zawodowej. — Z dołu w górę? — Nie, z góry w dół".

— Trudno nie wspominać z żalem „rozkosznej, cudownej, piankowej Krafftówny" (jak pisała prasa) z Kabaretu Starszych Panów Przybory i Stępowskiego. Zabawność umie Pani, jak zauważył Csato, podnieść do rangi poezji. Jest Pani aktorką nie ograniczoną żadnym emploi. Druga Pani „specjalność" — to groteska. Pani Iwona w „Iwonie księżniczce Burgunda" Gombrowicza w warszawskim Teatrze Dramatycznym była ważnym wydarzeniem teatralnym lat 50. No i przede wszystkim Witkacy. Niezapomniane kreacje stworzyła Pani w „Kurce wodnej", „Mątwie", „Małym dworku", „Janie Karolu Macieju Wścieklicy"...

— Witkacego ubóstwiam, marzę o Gombrowiczu. Literatura tego typu daje ogromne możliwości własnego kształtowania postaci. Jako aktorka tzw. „elastyczna" byłam obsadzana w Witkacym. Później wywiązała się z tego możliwość proponowania nowych form. Tak narodził się czarny humor w balladach...

— Wszyscy pamiętamy w Pani wykonaniu np. „Ogródki działkowe". Uwielbiamy Panią w programach rozrywkowych, na estradzie, w komediach, ale dla mnie osobiście — i chyba nie tylko dla mnie — prawdziwym objawieniem była Pani rola Felicji w „Jak być kochaną" Hasa. To chyba najpełniejsza postać kobieca w naszej kinematografii, nagrodzona zresztą w 1967 r. na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w San Francisco.

— Film Hasa — jest ważną pozycją w moim i filmowym repertuarze. Jest to w równej mierze zasługa Brandysa, który dostarczył tworzywa pozwalającego niezwykle sugestywnie oddać portret psychologiczny kobiety, co i Hasa, który potrafił stworzyć atmosferę dla powstania tej roli. Praca nad nią była dla mnie prawdziwym przeżyciem. Opanowałam całą rolę pamięciowo i sytuacyjnie, chociaż w filmie nie jest to konieczne. Wcieliłam się w postać, jej życie przeszłe i teraźniejsze. Stałam się po prostu Felicją.

— Brandys, który kreśląc tę postać oparł się na konkretnym pierwowzorze, osobie bynajmniej do Pani niepodobnej, po obejrzeniu filmu stwierdził, że dla niego Felicja — to Krafftówna.

— Ta jego wypowiedź — to dla mnie ogromna satysfakcja.

— A jak prywatnie odpowiedziałaby Pani na pytanie zawarte w tytule filmu?

— Film konfrontuje dwie miłości: osobistą z miłością do świata, ludzi. Czy ta druga może zastąpić pierwszą? Na pewno nie. Felicja — jako kobieta z teraźniejszości — jest popularną, lubianą aktorką. Obca dziewczyna pisze do niej z Paryża, że chce zostać jej córką. A jednak ile jest w tej kobiecie goryczy, poczucia zawodu. Z drugiej strony miłość do drugiego człowieka zamknięta, wyizolowana w świecie obcym i wrogim, też nie byłaby szczęściem... To również sprawa przedłużenia życia, dzieci. Ludzie, którzy wiodą spokojne, dobre życie, którym spełniły się zamierzenia, a to jedno — nie, czują się w pewnym momencie okrutnie wynaturzeni.

— Więc Pani dewiza szczęścia?

— Umieć zauważyć i nie przejść obok tego, co życie proponuje, co zaprogramowała sama natura.

— Dlaczego później nie grała Pani równie ciekawych ról, a jedynie epizodyczne w „Ich dniu powszednim", „Upale", „Rękopisie znalezionym w Saragossie"? Może dlatego, że brak w polskiej kinematografii postaci kobiecej o podobnej skali przeżyć?

— Nie wiem, gdzie szukać przyczyn. W literaturze jest wiele ciekawych propozycji. Każda epoka miała swój ideał kobiety. Może współczesna literatura jest pod tym względem nieco uboższa? Sądzę, że ciekawe byłoby ukazanie, jak kobieta wchodzi w historię...

— Myśli Pani o postaciach, które odcisnęły ślad w historii? Czy chciałaby Pani zagrać którąś z nich, np. George Sand?

— Nie zastanawiałam się nad tym. Wszystkie te postaci są dla mnie zbyt konkretne. Nie są stworzone z wyobraźni. Trudno tu wyważyć proporcje, a mam wrażenie, że byłoby profanacją nieprawidłowe ukazanie ludziom ich wymiaru, charakteru.

— Pani Barbaro, co Pani robi, żeby zawsze demonstrować taką wspaniałą formę na scenie, taki humor i pogodę ducha poza sceną?

— Może to kwestia usposobienia. W istocie jestem bardzo zmęczona kołowrotem codzienności. Stale nie dosypiam. Inaczej nie ogarnęłabym wszystkich obowiązków. Ale wychodzę z założenia, że nie musi się to odbijać na otoczeniu. Wie pani, gdybym nie musiała myśleć o przyszłości — rozstałabym się ze wszystkim...

— By szybko z tęsknotą powrócić?

— Tak, ale nie wiem kiedy. Liczę na to, że ludzie doprowadzą kiedyś do tego, że będzie można na jakiś czas wyłączyć się ze wszystkich zajęć. Przecież to jest po prostu ważna potrzeba organizmu.

— Może rzecz i w tym, że inny jest rytm naszego czasu. Pani Barbaro, nie rozwiążemy tego problemu. No i Pani nie rzuca wszystkiego. Nad czym Pani obecnie pracuje?

— Robimy w teatrze Gozziego „Króla jelenia" w reżyserii Giovani Pampiglione. Sztuka ta jest w pełni commedią dell'arte. Dla nas, Polaków, to forma bardzo trudna. W zderzeniu z włoskim reżyserem, który organicznie ją czuje, tym bardziej widzimy naszą niemożność. Nasz temperament dyktuje nam propozycję dużo „cięższą". Podobnie jak zwykle mamy trudności z oddaniem lekkości francuskiego dialogu.

Rozmawiała:

KRYSTYNA STARCZAK